

Maurice Leblanc.

TAJEMNICZE DOKUMENTY.

13

(Ciąg dalszy).

— Mniejsza o jego imię i jego narodowość. To ten właśnie, którego szukamy. Czy dawno go pani zna?

— Ze dwa tygodnie. Słyszał o mojej szkole i tak się nią zainteresował, że ofiarował mi roczną subwencję pod warunkiem, że od czasu do czasu będzie mógł przychodzić i stwierdzać postępy uczennic. Ja nie miałam prawa odmówić...

— Naturalnie... ale zawsze trzeba się było poradzić. Pani zna księcia Sernin; to człowiek dobrej opinii.

— Ach, ja mu najzupełniej ufam; ale on obecnie odbywa podróż. Zresztą ten pan zachowywał się zawsze bardzo właściwie. To dziś dopiero... Ale ja nie wiem...

— Proszę pani, niech pani mówi szczerze... I mnie także może pani ufać...

— Więc dobrze... Pan Ribeira przyszedł dziś do nas. Powiedział mi, że przychodzi z polecenia pewnej pani, że ta pani ma córeczkę, której wychowanie chce mi powierzyć i że mnie prosi, że bym niezwłocznie przybyła. To wszystko wydało mi się zupełnie naturalne. A że miałam właśnie czas, a powozik pana Ribeiry czekał, więc nie ciotowałam się i wsiadłam z nim razem.

— I czegoż chciał właściwie ten człowiek?

— Chciał mnie wykraść poprostu. Po upływie pół godziny, wyznał mi to najspokojniej... mówiąc przytem o swojej miłości. A że ja chciałam wyśiąść, pochwylił mnie za rękę i błagał, abym się zastanowiła. Działo się to, gdyśmy podjeżdżali w górę, za stawem. Koń szedł stępą, a pan Ribeira powtarzał: „Niech się pani zastanowi... niech się pani dobrze zastanowi“... Tymczasem nagle posłyszałam turkot pańskiego automobilu i udało mi się wyrwać i wyskoczyć z powozu... Wtedy p. Ribeira usiłował mnie zatrzymać, ja zaś strzeliłam do niego...

— Więc pani miała przy sobie rewolwer... w przewidywaniu...

— Nie. Ja się nie rozstaję z rewolwerem od czasu... od czasu pewnej przygody... ale o tem nie warto...

P. Lenormand nie nalegał. Zapytał tylko:

— Ale któż pani przedstawił tego Ribeirę?

— Jeden z moich dobrych znajomych, pan Landat, nauczyciel w szkole chłopców. Szkoły nasze są w pobliżu. Widujemy się często.

— Czy byłaby pani łaskawa zaprowadzić nas do niego? Ten pan mógłby nam może udzielić informacji!

Zastali nauczyciela zajętego w ogródku, otaczającym szkołę. Młoda, poważna twarz jego miała wyraz miły i otwarty. Jasne włosy, w tył odrzucone, odsłaniały szerokie, ładnie zarysowane czoło.

— Dzień dobry, panie Landat — rzekła Genowefa, wyciągając do niego rękę. — Czy nie przeskadzamy panu?

— Ależ nie. Tylko, nim uścisknę rękę pani, muszę wpiérw moją obełrzeć.

Szukał oczyma czegoś, czego jakoś nie mógł znaleźć. Ale Lenormand, widząc na ziemi za kępą kwiatów chustkę do nosa, podniósł ją, mówiąc:

— To tego pan zapewne...

Urwał nagle. Chustka wydała mu się taką samą, jak ta, którą mu przyniósł Jakób Doudeville nocą, znalazłszy ją w pościgu za bandytami. Obejrzał znak: litera M.

— Jedno pytanie, łaskawy panie — zapytał zdumiony — jakie imię pańskie?

— Marceli — Marceli Landat.

— Marceli — szepnął pan Lenormand, coraz bardziej zadziwiony — M. L...

Równocześnie konstatawał, że młody człowiek ubrany był czarno, że był szczupły, średniego wzrostu i że włosy miał jasne. Przyjrzał mu się z głębką uwagą. Następnie obszedł go z tyłu, chwycił kraj jego kurtki i odwinął go. Szpilka, czarna staniowa szpilka, którą poprzedniej nocy wpiął w ubranie tajemniczego zbrodniarza, ta szpilka tu się znajdowała.

IV.

Może nigdy jeszcze Lenormand nie potrzebował takiego wysiłku, by pohamować odruch instynktowny. Mimowoli zwrócił się ku swoim inspektorom i już zaczął kreslić ręką gest, nakazujący aresztowanie młodego nauczyciela. Jednakowoż nie dokończył tego gestu. Słów tych nie wymówił. Siadł, nakrył twarz rękoma i zamyślił się głęboko, podczas gdy wszyscy wokół spoglądali po sobie zdziwieni. Po dłuższej chwili odsłonił twarz spokojną, nie zdradzającą żadnego wzruszenia.

— Panie Landat — zwrócił się do młodzieńca — poszukujemy winnych zbrodni w Palace-Hotelu. Jeden z nich, morderca właściwy, blondynem jest, tak jak pan i podobnie, jak pan, ubiera się czarno. Tej nocy udało mi się wpiąć czarną szpilkę w jego ubranie, a teraz znajduję szpilkę tę wpiętą w pańskie ubranie. A dalej, oto chustka, która wypadła z jego kieszeni — dokładnie podobna do tej, którą pan masz w ręku.

— Ona nie tylko podobna — rzekł młodzieniec zdumiony — ale to jest moja własna. Jak się to stało?

— Panie Landat, ten drugi zbrodniarz, współnik mordercy, jest znajomym pańskim. Zauważywszy, że pan jesteście szczupły blondyn i że masz chustki, znaczone literą M., zabrał ci jedną z nich i podrzucił ją na drodze, chcąc na pana podejrzenia skierować. Wreszcie dziś rano odwiedził pana i uszcześliwił pana tą szpilką...

Zaczął się śmiać.

— Ach, ci bandyci przebiegli są... Ale nie mnie, starego lisa, brać na takie sztuczki!...

Nauczyciel niedorozumiewał się.

— Panie szefie bezpieczeństwa, pan się myli. Nikt u mnie nie był dziś rano. Miałem tylko wizytę reprezentanta rządu hiszpańskiego...

— Jegomość pan Ribeira jest jednym z aktorów dramatu Kesselbacha i jednym z tych, których ścigaliśmy tej nocy. Jeszcze dziś usiłował porwać pannę Ernemont, z którą go pan zapoznałeś.

— Nie może być! On usiłował...

Marceli Landat pobrał nagle, twarz jego zdradzała najwyższe zdumienie.

— I zwrócił się do Genowefy:

— Pani, czy to prawda? O, niech mi pani wybaczy... Ja, którybym życie dał, ażeby pani oszczędzić...

— Skąd pan znasz tego Ribeirę? — przerwał mu pan Lenormand.

— Przyszedł kiedyś do mnie, mówiąc, że z polecenia swego rządu studjuje francuskie szkoły. Za drugą bytnością prosił, bym go przedstawił pannie Ernemont. Odtąd zaszedł jeszcze dwa czy trzy razy, przechodząc... między innymi dziś rano. Nic więcej o nim nie wiem.

— Czy on w Paryżu mieszka?

— Zdaje mi się.

— Czy nie pisał do pana? Nie ma pan od niego jakich słów kilku, jakiego przedmiotu, jakiej wskazówki, któraby się nam przydać mogła?

— Nic nie mam.

— A jednak, panie Landat — wtrąciła Genowefa — mówił mi pan przed dwoma dniami, że prosił pana o pożyczanie maszyny do pisania i że ułożył list, którego adres pan przypadkiem zobaczył.

— Prawda, pisał do „Grand Journal“ i wsunął w kopertę ze dwadzieścia marek.

— Mam przy sobie dzisiejszy numer, szefie — odezwał się Gourel.

Lenormand rozwinął arkusz i poszukał na ósmej stronicy. Drgnął, odnalazłszy w „prywatnej korespondencji“:

„Podajemy do wiadomości każdemu, kto zna pana Steinwega, że chcielibyśmy wiedzieć, czy jest w Paryżu i jaki jego adres. Prosimy o odpowiedź tą samą drogą“.

O szóstej wieczorem pan Lenormand wracał do swego gabinetu w prefekturze policyi. Odrzucał Diensy'ego.

— Masz tu tego człowieka?

— Tak szefie.

— I cóż on ci powiedział?

— Nie mówię ani słowa. Przyprowadziłem go tutaj pod pozorem, że wszyscy przyjezdni cudzoziemcy muszą się meldować w prefekturze policyi.

— Przyprowadź go.

W tejże chwili wszedł chłopak biurowy.

— Jakaś pani, szefie, chce się z panem widzieć. Oto jest bilet.

— Pani Kesselbach! Proś!

Podszedł naprzeciw młodej kobiety i prosił, by usiadła. Miała zawsze w spojrzeniu ten sam smutek, ten sam chorobliwy wyraz niezmiernego znudzenia, świadczący o niedoli jej życia. Podała szefowi numer „Grand Journal“u, wskazując ustęp, w którym była wzmianka o Steinwegu.

— Ojciec Steinweg był to przyjaciel mojego męża i niewątpliwie wiele musi wiedzieć.

— Diensy — rozkazał pan Lenormand — wpro-

wadź tę osobę, która czeka... Wizyta pani nie będzie daremną. Tylko proszę, gdy ta osoba wejdzie, niech pani nie mówi.

Otworzyły się drzwi. Wszedł starzec siwobrody, o twarzy zoranej głębokimi zmarszczkami, ubogo ubrany. Miał znikomy wyraz tych nieszczęśliwych, których los gna po świecie za codzienną strawą. Przystanął w progu, mrugał oczami i patrząc na pana Lenormand, z zakłopotaniem obracał kapelusz w palcach. Ale nagle wydał się zdumiony, oczy mu się rozszerzyły i wyjął:

— Pani... pani Kesselbach.

Spostrzegł był bowiem młodą kobietę. I już rozpogodzony, uśmiechnięty, zbliżył się do niej bez pierwotnego onieśmienia.

— Ach, jakież rad jestem!... Nareszcie!... Myślałem, że już nigdy... Dziwiłem się... żadnych wiadomości... żadnych telegramów... Jakżeż się miewa pocziwy Rudolf?

Młoda kobieta rzuciła się w tył, jakby ją nagle ktoś w twarz uderzył i łkając, opadła na krzesło.

— Co to?... Co się stało? — pytał Steinweg.

Lenormand wtrącił się natychmiast.

— Widzę, mój panie, że nie wiesz o niektórych zdarzeniach, które zaszły tu niedawno. Dawno pan jesteście w podróży?

— Od trzech miesięcy. Pisałem do Rudolfa z Kapu. Czy on mój list otrzymał?

— Pan Kesselbach jest nieobecny... Wytlómaczę to panu później... Ale przedtem co do jednej sprawy pragnęlibyśmy wyjaśnić od pana. Chodzi tu o osobistość, którą pan znał i którą pan w swoich rozmowach z panem Kesselbachem nazywał Piotrem Leduc.

— Piotr Leduc! Co?! Kto panu mówił?

Starzec był cały wzburzony.

— Kto panu to powiedział? Kto pana wtajemniczył? — powtarzał.

— Pan Kesselbach.

— Nigdy! To tajemnica, którą mu powierzyłem, a Rudolf umie strzedz swoich tajemnic... a zwłaszcza tej...

— Jednakowoż potrzebujemy niezbędnie, żebyś pan nam odpowiedział. Prowadzimy dochodzenie, dotyczące Piotra Leduc, a pan jeden może nas objaśnić, skoro pana Kesselbacha niema.

— Więc nareszcie czego panu potrzeba? — Steinweg zdawał się zdecydowany mówić.

— Znasz pan Piotra Leduc?

— Nigdy go nie widziałem, ale oddawna posiadam tajemnicę, którą jego dotyczy. Dzięki różnym okolicznościom dowiedziałem się, że człowiek, który mnie obchodzi, żyje w Paryżu, prowadząc żywot rozpustny, pod imieniem Piotra Leduc.

— A czy on zna swoje prawdziwe nazwisko?

— Przypuszczam.

— A pan?

— Tak, ja je znam.

— Więc niechże pan nam je powie.

Starzec zawahał się, a potem gwałtownie wybuchnął:

— Nie... nie mogę... nie mogę! Nie mam do tego prawa. Cała tajemnica w tem. Gdybym tę tajemnicę powierzył Rudolfowi, on przywiązał do niej tak wielką wagę, że dał mi znaczną sumę, aby okupić moje milczenie — a nadto przyobiecał mi cały majątek w dniu, gdy Piotra Leduc odnajdzie i korzystać z tej tajemnicy wyciągnie.

Uśmiechnął się gorzko.

— Znaczną sumą pieniędzy już nie istnieje; przybyłem się dowiedzieć o mój majątek.

— Pan Kesselbach nie żyje — oznajmił p. Lenormand.

Steinweg podskoczył.

— Nie żyje! Czy być może! nie, to tylko podstęp... Pani Kesselbach, czy to prawda?

Spuścił głowę. Wydawał się przygnieciony tą wiadomością, a przytem musiała go dotknąć nader boleśnie, gdyż zaczął płakać.

— Mój biedny Rudolf... znałem go maleńkim. Przychodził bawić się do mnie w Augsburgu... Tak go kochałem... I on mnie, nieprawdaz, pani? Stary pan Steinweg, tak mnie nazywał...

— Słuchaj pan — rzekł dobitnie Lenormand. — Pan Kesselbach został zamordowany... No, uspokój się pan — krzyki zbyteczne... Został zamordowany i wszystko na to wskazuje, że winny zbrodni znał ten projekt. Czy było co w tym projekcie, coby pozwoliło panu odgadnąć...

Steinweg, skonsternowany szepnął:

— To moja wina. Gdybym go nie był skierował na tę drogę.

Pani Kesselbach zbliżyła się, błagając.

— Pan przypuszcza... pan ma jakąś myśl... O! proszę pana, panie Steinweg...